



Lech Charewicz

część I z VII

Sygnatura notacji: **N1369**

Data urodzenia: **20.06.1935 r.**

Data nagrania: **27.06.2019 r. , 28.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 63 min, część III: 47 min,
część IV: 41 min, część V: 45 min, część VI: 63 min,**

Format nagrania: **video** **część VII: 35 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Lech Charewicz: Nazywam się Lech, Aleksy po ojcu, Charewicz. Urodziłem się w Warszawie na ulicy Karowej 20 czerwca 1935 roku na warszawskim Powiślu. Z nim byłem związany już przez długie lata następne. Mama nie pracowała, ojciec handlowiec, który wrócił z terenów Rosji Sowieckiej w 1921 roku, wilnianin, matka - rodowita warszawianka, babcia urodziła się na ulicy Bolesć, żona na Żelaznej, matka na Żelaznej, ja na Karowej. Jestem z moim miastem, z Warszawą, bardzo związany uczuciowo i nie wyobrażam sobie, żebym gdzie indziej mógł żyć, chociaż potem los tak zrzędził, że widziałem wiele bogatszych krajów, wiele krajobrazów, ale to może kiedyś o tym wspomnę. Uważam się za dziecko wojny. Ojca straciłem, umarł, ponieważ przywiózł już chorobę wtedy powszechną, gruźlicę, z tej Rosji Sowieckiej, jak wrócili po traktatach, że mogli Polacy wrócić do Polski, i zamieszkali na ulicy Księdza Siemca na warszawskim Powiślu, obecnie ulica Wiślana, między urszulankami a salezjanami. Naprzeciwko był Kościół Świętej Rodziny. Była to dość skromna kamienica, z lokatorami bardzo różnie usytuowanymi, ale raczej była to klasa rzemieślnicza i drobnych właśnie pracowników elektrowni, czy tak jak dziad był mój, Józef Malinowski, miał rewir Żelaznej Bramy, był listonoszem, ale w naszym domu zamieszkiwali też i mieli warsztaty ludzie pochodzenia żydowskiego. Pan mosiężnik miał wspaniały zakład, był krawiec. Bawiłem się na podwórku z dziećmi bez względu na urodzenie, pochodzenie. Było bardzo przyjemnie. Dozorcą był pan Wiercioch, który pilnował rygoru. Godzina wieczorna, wychodził z tak zwaną... takim batem jak w cyrku do lwów, pyta taką: „Karaluchy do nory”. Wszystko to się słuchało, był porządek. Niestety w wieku trzech lat, tak jak ojciec powiedział, dzisiaj 27, w 1938 roku był właśnie jego pogrzeb. I co ciekawe, to muszę powiedzieć, bo jak rozmawiam z rodzicami młodych teraz dzieci, które mają właśnie pociechy takie zaczynające chodzić, i widzę jak inteligentne te polskie dzieci są, to właśnie mówię, że ja straciłem ojca, jak miałem trzy lata. Trzy lata, w zasadzie cóż, to dopiero człowiek się zaczyna kształtować. A ja doskonale

pamiętam wakacje pod Ciechanowcem we wsi Kozarze, szlacheckiej wsi, skąd pochodził Józef Malinowski, jego korzenie z Podlasia, mojego dziada Józefa. I tam właśnie jak byłem, no to byłem szkrabem bardzo małym, bo ojciec umarł w 1938 roku. I jadąc po latach do Białegostoku, poznałem Czyżew, stację, na której byłem na kolanach matki. Po tych wakacjach ojciec przyjechał i na dworzec wileński mostem Kierbedzia do nas na Powiśle, na ulicę Księdza Siemca 4. To aż nie do wiary. Po 30 latach ja, mając już swoją syrenę, pojechałem z kolegą tam, do tej wsi Kozarze, i trafiłem do tej chałupy, na tę górkę, i zachowywałem się niestosownie, ponieważ nie przedstawiłem się. I był tam właśnie daleki, daleki kuzyn Jan Malinowski, który mając 17 lat w 1937 roku, jak ja byłem tam z ojcem na tych wakacjach na tej wsi, i on odwoził... mówi, bryczką Żyd powoził do Czyżewa 19 kilometrów, bo tam było tyle do kolei, i ja nie przedstawiając się powiedziałem, gdzie była studnia, jak wygląda jego dalsza izba, bo przyjął mnie w tej kuchni, opowiedziałem plan tego mieszkania. To aż niespotykane. I tak jak teraz, obecnie, jako już bardzo dorosły człowiek, spotykam się z uwagami: „Gdzieś ty się, Lechu, obczytał?”. A dziecko jednak pamięta. I ja pamiętam. Ja nie pamiętam, co było z zasady pół roku temu, miesiąc, nawet i tydzień teraz, a tamto doskonale pamiętam, całą masę fragmentów, które dla mnie są istotne. I pamiętam na przykład, jak ojciec konał w szpitalu na Płockiej ulicy, pamiętam, jak dziad podniósł mnie, trzyletniego, bo tyle miałem wtedy, do góry na katafalku ojciec leżał, mówi: „Zobacz, Leszek, to jest swój tato”. I potem karawan z Płockiej ulicy na Bródno, ja jako chłopaczek taki mały byłem posadzony koło woźnicy, a ludzie szli przez całą Warszawę, przez Most Kierbedzia, na Bródno, bo takie te konduktory wtedy chodziły, pogrzebowe. I ja właśnie mam... miałem, bo to się zniszczyło w powstaniu, miałem zdjęcie na tym koźle, jak powożę, i nawet były uwagi, mówi: „Co ty tam pociągnąłeś za lejce, bo musieliśmy przyspieszać kroku”. Tak że to jest może nieistotne, absolutnie, ale tylko chcę powiedzieć, że w konfrontacji później, po latach, to dziwiono się, że ja to pamiętam, że to jest... I na przykład tak, teraz, ostatnio, zetknąłem się w pomieszczeniach szpitala, gdzie byłem na operacji oczu, i następna mnie czeka 10 lipca, z pacjentami, którzy tam siedzieli. I oni opowiadają to czy owo, starsi ludzie, i mówią: „Pan to nic nie wie”. Okazuje się, że ja jestem właśnie... Jak Piłsudski umarł, ja się urodziłem, w tym 1935 roku, w czerwcu, to ja jestem od nich starszy o trzy, cztery, pięć lat, a oni uważali mnie za młodszego, że ja nic nie wiem, że ja nic nie tego. I potem w tej poczekalni szpitalnej cisza zupełna, oni słuchają, co ja opowiadam. A opowiadam. Mówię, 1939 rok. Przed 1939 rokiem ja byłem na defiladzie trzeciomajowej z matką na Krakowskim Przedmieściu. I jako taki mały łebek zostałem tam wyróżniony i na te schodki, gdzie stoi Kopernik, tam miałem miejsce siedzące, i pamiętam, jak Polskie Wojsko, kawaleria, artyleria przeciwlotnicza od Placu Zamkowego w kierunku tutaj wchodziła pod Świętokrzyską w kierunku Belwederu. I potem pytałem wielu ludzi, co to za defilada była. A teraz już wiem, że 3 maja właśnie, ta jedna z ostatnich defilad przed 1939 rokiem. I na przykład pamiętam radość, to przecież jak ojciec umarł, jak ja miałem trzy lata, to ja pamiętam doskonale, jak spacer wyglądał na Krakowskim Przedmieściu. W drogerii była koło-loteria, ja wygrałem mydło, podobno 50 groszy to kosztowało. I to dzieciństwo moje upływało bardzo przyjemnie. Ojca już straciłem, miałem dwie babcie i byłem jako jedyny w rodzinie, bo były cztery córki mojego dziadka chrzestnego, tak że ja byłem tak hołubiony. Nazywano mnie tam Lele. Ksiądz nie chciał mi dać imienia, bo ja nie mam do dzisiaj patrona. Byłem chrzczony u świętego Antoniego, Lech. Ale teraz widzę, że jest sporo z tamtego okresu Lechów, i cieszę się, że mam to imię. Po ojcu jestem Aleksy. Charewicz, to się dziwiono właśnie. Mówi: „Słuchaj, ty jesteś w spisie szlachty”. To była drobna szlachta wileńska, ojciec się urodził tam właśnie pod Wilnem, były potem komplikacje jakieś finansowe w tym drobnym gospodarstwie. Oni byli w Petersburgu. Tam ich zastała rewolucja. Dziadek tam zmarł w czasie tego głodu, rewolucji. I ojciec już z gruźlicą, a babcia mówi, że dziadka wywoziła na sankach, żeby go gdzieś tam pochować. Oni wrócili w 1921 roku. Ojciec miał 14 lat, z 1907 roku, za-

kochali się z moją mamą, Marysią, która była z 1913 roku, była 7 lat od niego młodsza, i w 1934 roku pobrali się. Ja urodziłem się właśnie, tak jak powiedziałem, w 1935 roku. Ale zdążam do tego, że jak już nie miałem ojca, byłem sierotą, skończyłem trzy lata, i babcia Broncia, Bronisława Malinowska, kochany człowiek, zaprowadziła mnie i zapisała do urszulanek, przedszkola na Powiślu. To był adres właśnie: Gęsta ulica, Dom Sióstr Urszulanek, matki Leduchowskiej dzieło, świętej obecnie. I tam właśnie, rok 1938, 1939, 1940, 1941, byłem studentem tego przedszkola 4 lata. I przeżycia moje były tam wspaniałe, ponieważ dom wybudowany do dzisiaj, wypalony w czasie powstania, odbudowany, wspaniały dom polskiego architekta, stoi róg ulicy Wiślanej, Dobrej i Gęstej. A nasz dom był ulica Księdza Siemca 4. Obok byli salezjanie i tak jak wspominałem, kościół z księdzem właśnie Siemcem, księdzem Oleksym, salezjanami, którzy prowadzili duży zakład wychowawczy i był tam hufiec harcerstwa polskiego, byłem świadkiem od łebka małego, te złoty harcerzy z kijami, w pelerynach, jak wyjeżdżali na obóz, to na mnie bardzo oddziaływało. Jako dzieciak pamiętam. I co? Wybuchła wojna. Pamiętam doskonale, doskonale. Zaklejanie szyb papierem na krzyż, żeby szyby nie wypadły. Pamiętam doskonale straszne chwile. To już było 25 września, bombardowanie Warszawy, kiedy babcia na pierwszym piętrze trzymała mnie tak przy sobie i mówi: „Nie schodzimy do piwnicy. Jak mamy zginąć, to zginiemy tutaj”. Mieszkałem między mostami kolejowym a Kierbedzia. Były tam wodociągi, była elektrownia, była rektyfikacja warszawska. Było co bombardować. Te bomby padały. Była straszna sytuacja. Ale jeszcze przedtem, jak było oblężenie Warszawy w 1939 roku, to żeśmy siedzieli przeważnie w stolarni na parterze w takiej niskiej suterenie. Była duża stolarnia, piękne meble tam panowie wyrabiali. Często tam właśnie chodziłem przypatrywać się tej pracy, a potem, już po 1939 roku, to chodziło się prosić o kawałki drewna czy wióry, żeby było czym pod kuchnię napalić. I wiecie, ja doskonale pamiętam polskie wojsko, które stacjonowało na naszym podwórku i babcia pozwalała im korzystać z naszych naczyń, moczyli często nogi, wychodzili na te placówki, wracali, odpoczywali. I ja, nie mając już ojca, mając te cztery lata, piąty rok zacząłem w 1939 roku, tęskniłem w pewnym sensie i lgnąłem do tych mężczyzn, do tych żołnierzy. I pamiętam, jak mnie jeden na nodze bujał. Okazało się, że to był Aleksander Dreyer, który mi powiedział: „Jak się wojna skończy, ja jestem z Suwałk, to ja cię zapraszam do naszego pięknego miasta. Mamy piękny biały kościół, jeziora, to przyjedziesz na wakacje”. I jak to wojsko wyszło z Warszawy, oni byli tutaj, okazało się, z jednostki z pułku z Suwałk, bronili tutaj Belwederu, na Powiślu elektrowni. I ten 25 dzień września, straszne bombardowanie, ale okropne. Już nie wiedzieliśmy, czy przeżyjemy czy nie przeżyjemy. I ja jako dzieciak, ja to doskonale pamiętam. Ciotka Olka, potem właśnie w szeregach Armii Krajowej, zgrupowanie „Granat”, miała narzeczonego, Henia Zembrzyckiego. Mieli się pobrać, wszystko szło im jak najlepiej, mieli już u nas trochę swoich mebli. Ciotka była nauczycielką, on Wawelberga skończył, zapisali się już na mieszkanie na Żoliborzu, no i niestety, 25 września, jako mieszkaniec Dobrej ulicy... kilkanaście osób zginęło w czasie tego bombardowania. I ja pamiętam, to w ogóle niespotykane, jego pogrzeb. Był chowany na skwerku przy nowoczesnej szkole na ulicy Dobrej i jeszcze zdjęto u nas z kredensu krzyż taki cynkowy. Były takie krzyże stojące, krucyfiksy, że mówi: „Włożyć Heniowi do grobu, to potem przy ekshumacji, przy przeniesieniu ciała, że będzie łatwo go poznać z tego”. Kapitulacja Warszawy, niby spokój, ale Niemcy robili rewizję w każdym mieszkaniu. Ja miałem model takiego PZL, samolotu, z mosiądzu wykonany, dwupłatowiec taki, jednopłatowiec, ten PZL, taki samolocik... I ja wiedziałem, że będzie rewizja, że mają być ludzie w domu, wpuścić właśnie tych, którzy będą odwiedzali te nasze mieszkania, i tak się bałem, że właśnie mam ten samolot i że oni mnie zabiorą. I byłem z babcią wtedy w mieszkaniu i przyszedł wielki Niemiec, stanął w drzwiach i tak popatrzył na mnie, na babcię, nawet do tego mieszkania nie wchodził. Ja pamiętam tę rewizję. I potem głód, zimno, brak szyb w oknach. Wszystkiego brak. Myśmy nie mieli mężczyzny, bo umiera prababcia,

umiera dziadek, pogrzeb za pogrzebem. Dziadek chodził na ryby, miał komplet wędek, nad Wisłę, ja miałem swoją wędeczkę, też małą, z dziadkiem chodziłem, bo to było tak blisko Wisły. Wisła była cudowna, były wyspy, pracowali piaskarze, ciągnęli żwir, piach. Pamiętam do dziś zapach tego piachu wiślanego. I babcia sprzedawała wszystko, żeby urządzić te pogrzeby. 1940 rok prababcia umiera, 1941 rok dziadek. Myśmy nie potrafili i nie mieliśmy warunków, żeby ratować się pędzeniem bimbru, nie było gdzie hodować królików, nie mieliśmy żadnej działki. Pamiętam, jak się chodziło, po przydzielony kartkowy chleb na rogu ulicy Dobrej i Księdza Siemca. Była to gliniana porcja, ćwiartka. Ja mieszkalem z tymi ciotkami, moją Melą, Krysią, Olą. I pamiętam, jak nie raz w nocy w ciasnocie tej rozkładało się czy to piernat, czy łóżko polowe, żeby każdy się mógł jakoś wyspać. Warunki były ciężkie i te dziewczyny, mające wtedy tam po 20, 19 lat, dosłownie skubało się tę ćwiartkę chleba, bo to miało wystarczyć na jakiś czas, żeby tylko popróbować. Było to bardzo przykre, ale ja miałem to szczęście, że zostałem przyjęty do tego przedszkola sióstr urszulanek, do tego nowoczesnego domu. Tam już zupełnie inne warunki były sanitarne, bo u nas to trzeba było chodzić przez podwórko, pan Wiercioch trzymał w rygorze i czystości sanitarnej wspólną toaletę, ale niestety wszyscy musieli defilować przez podwórko za swoją potrzebą. A tutaj nagle na kilka godzin trafiłem do luksusowego domu, do tego przedszkola. Pamiętam urodziny przełożonej, mówiłem jakiś wiersz w stroju, przebrany za górala, wypadło to dobrze, było lepsze jedzenie, taka rolada z jajka. Pamiętam to doskonale. Ale dlaczego to mówię? Ponieważ w nagrodę dzieci, które tam występowały, były wzięte, siostry miały konika, na gumach wóz i była nagroda: wyjazd do Młocin, na ulicę Radecką, do letniego domu sióstr urszulanek. I pamiętam ten przejazd Żoliborzem, ulicą, jak wiem teraz, Mickiewicza, Słowackiego, do tego domu, to zsiadłe mleko, to kartofle ze skwarkami, ten wyjątkowy taki dzień, potem powrót. Ta wycieczka była wspaniała. A na naszym podwórku miał stajnię Szymański Jan z ulicy Radnej, któremu Wojsko Polskie jako obowiązek zarekwirowało pięknego kolorowego „Fordę”, tam półtonowej tony chyba było, taka paka, w 1939 roku, i on sobie poradził, że kupił platformę, kupił tego konia, który miał na imię Bubek, ja nie miałem ojca i syn tego Jana Szymańskiego, właściciela, starszego pana, tej platformy, Józef, zabierał mnie na takie swoje właśnie... Postój był na Kopernika, ludzie wynajmowali, jak czasami latem, do Świdra, do Józefowa, były przeprowadzki takie do letnich domów, do tych „świdermajerów” [żartobliwa nazwa stylu budowlanego], które do dzisiaj jeszcze tam nieliczne stoją, i ja pomagałem, czasami tam podawałem drobne rzeczy, jak on to upychał na tej platformie, wiązał linami, przykrywał plandeką, z powrotem, jak się wracało, to kupował na ulicy Dobrej bajaderkę i babeczkę, że zarobiłem coś, i zastępował mi w pewnym sensie ojca. Babcia Wiera z kolei, matka mojego ojca, miała dosłownie zawód niespotykany, bo od hodowców psy rasowe, psy, nie koty, ale psy rasowe... Na tym podwórku był ogródek ogrodzony z klatkami i moźni tego świata czasami te pieski od babci Wiery..., występowały w teatrze, jak trzeba było, teatr wynajmował pinczerka, czy tam jakiegoś pekińczyka, i moźni przychodzili, znali to miejsce, że tutaj kupią rasowego psa czy ładnie go wystrzygą. I to się wszystko właśnie tak jakoś, że z przyrodą byłem związany i czasami trzeba było odprowadzić tego pieska na nowe miejsce, bo się przyzwyczajałem do nich i one tutaj, jak były razem, no to rozstanie potem. To dostawałem czasami 5 złotych za odprowadzenie. Takie to dzieciństwo było... Pamiętam na przykład, jak Józio woził kartofle do zakładów pracy. I jechałem na tych kartoflach z Powiśla warszawskiego, gdzieś pobrał ten towar, to było tam ze dwie tony tych ziemniaków, boki były pełne, i jak teraz wiem, do zakładów Schichta, na Szwedzką ulicę. I tam żeśmy podjechali z tymi ziemniakami, ja byłem z nim, on może brał mnie, nie wiem, dlatego, że może przy jakimś zatrzymaniu, łapance czy coś, że dzieciak, no jakoś mu pasowałem. Jak on schodził i, dajmy na to, wyładowywał czy to puszki z marmoladą, taką z buraka, jak się rozwoziło po sklepach tam na kartki, ja mu podawałem z tej platformy, to... No razem było nam bardzo dobrze. Bardzo dobrze. I wiecie,

z tymi kartoflami podjechaliśmy na tę Szwedzką ulicę, mur ogromny, brama do dzisiaj jest, to wszystko stoi, bo to za-
bytek Polleny potem, teraz jest jedyny komin w Warszawie, który widzę z mojego okna na Pradze. I ten dozorca mówi:
„Dzieciaka, nie wpuszczę. Nie wolno, żeby dzieciak... tutaj to chemiczna, to... Nie, nie”. I Józio mnie zostawił za tą,
pojechał z Bubkiem wyładowywać te kartofle, ja czekam, czekam, czekam, czekam, nie mogę się doczekać i, wiecie,
powiedziałem sobie, taki łeppek mały, że ja wracam z tej Pragi i przez Most Kierbedzia przyszedłem na Księdza Siem-
ca, jak gdyby nigdy nic, a Józio do mojej matki mówi: „Musiałem dać kupę kartofli, żeby mi przypilnowali konia,
bo Leszka szukałem po tej Pradze, że dzieciak zginął”. A ja przyszedłem sam tutaj, na to moje Powiśle. Trudno tu by
było cokolwiek jeszcze opowiedzieć. W każdym razie pamiętam doskonale, że w 1942 roku, po czterech latach
bycia właśnie u urszulanek, gdzie jakiś skromny posiłek żeśmy dostali, pamiętam, że jest taras mały, taras duży, to te-
raz już jest to wszystko do wglądu, bo to funkcjonuje i nadal jest tam przedszkole, że byłem fotografowany z grupą
dzieci, że jak były uroczystości, to też przychodził pan fotograf i zacząłem chodzić do szkoły powszechnej. Babcia,
znowu, Bronia, odprowadziła mnie do tej szkoły, zapisała, na ulicę Sewerynów chyba 3, bo na ulicę Drewnianą nie
chciałem, tam, gdzie moja matka chodziła, bo to były takie trochę lumpowate, takie Powiśle tam było, taka nerwowa
atmosfera. Chodziłem na ulicę Sewerynów, chyba to skrytki jakieś prowadziły tę szkołę, która była przesiedlona
do prywatnego domu, bo Niemcy zajęli na szpital na ulicy Dobrej, gdzie bym chodził. I tam do Powstania Warszaw-
skiego skończyłem pierwszą klasę, drugą klasę i zdałem do trzeciej klasy. I wiecie, pamiętam doskonale, jak byłem
na ulicy Zagórnej, Zagórna, nowoczesne domy z lat 30., architektura piękna, to była dzielnica niemiecka. I pamiętam,
jak Niemcy uciekali, Rumuni czy tam Chorwaci i inni, ten ciągnął jakąś krowę, to kozę, uciekali przed Rosjanami,
którzy ofensywę już prowadzili tutaj od wschodu na Warszawę. Euforia Warszawy, że Niemcy uciekają. Było to fan-
tastyczne. I ja byłem na tej ulicy Zagórnej, jeszcze kiedy było tam... ci Niemcy, urzędnicy z różnych właśnie instytucji,
opuszczali Warszawę no i te mieszkania. I myśmy tam trochę... Nawet znalazłem łódkę z pięcioma nabojami, tam,
w tym mieszkaniu już opuszczonym, ale jeszcze te Hitlerjungen. Na ulicy Zagórnej jest do dzisiaj taki budynek, gdzie
była tylko dla Niemców szkoła, dla dzieci niemieckich, i właśnie tam, chyba czterech ich było w tych mundurkach, tak
zaczęli mną jak piłką. To pamiętam, że: „Tutaj twojego nic nie ma”, czy coś takiego. W każdym razie doznałem
to od moich rówieśników, ale było ich kilku, jeden nie dałbym rady. I wróciłem na ulicę Księdza Siemca i wybuchło
powstanie. Wybuchło powstanie, te ulice idą od Dobrej do Browarnej, to idzie ulica Gęsta, Wiślana, obecnie Księdza
Siemca, Lipowa, Radna, Leszczyńska, Oboźna do góry, ale tutaj cały Pałac Kazimierzowski, „uniwerek”, to jak ja
szedłem ulicą Oboźną do szkoły, Browarną, Oboźną, na Sewerynów, no to widziałem, nie było przecież możliwości
nauki dla polskiej młodzieży, Niemcy opanowali całe te tereny Uniwersytetu Warszawskiego, na tym polodowcowym
wzgórzu ten „uniwerek”, stamtąd widać Powiśle jak na dłoni, nasze podwórko, wszystko, bo czasami teraz skręcę,
dojdę do tego muru, to mówię: „Mogli nas wszystkich wystrzelać jednego dnia”. I wiecie państwo, widziałem jak oni
lali beton, robili bunkry, zasieki, drut kolczasty, przygotowywali tę skarpe do obrony. I dlaczego to mówię tak, że wi-
działem to chodząc do tej pierwszej, drugiej klasy, wciąż koło tego „uniwerku”? Ponieważ jak wybuchło powstanie,
na naszym podwórku ukazali się żołnierze w opaskach, z naszego domu, z parteru, Henio Pietrzak, uchodzący za
takiego sobie, no takiego maminsynka... Ale patrzę, on w opasce z granatem tłuczkowym, przyszedł matce się poka-
zać. A jeszcze powiem, że właśnie do powstania, jak już zacząłem chodzić do powszechnej szkoły, to chodziłem
do świetlicy do salezjanów, naprzeciwko, gdzie mieli właśnie ten zakład wychowawczy, i tam młodzież taka już
starsza była, to myśmy tam spędzali czas w tej świetlicy, dostawało się kromkę chleba z marmoladą, to co była bardzo
dobra rzecz, buraczaną, kawę. Śpiewało się tam piosenki: „Brhmaputra, Himalaja...”, inne takie rzeczy, a potem były

przedstawienia pod kościołem, jasełka, no było to takie uzupełnienie dnia, bardzo wspaniałe, i ci księża salezianie bardzo się tą młodzieżą opiekowali, to mówię z całym przekonaniem. I nas zwalniano do domu, młodszych łepków, myśmy opuszczali te pomieszczenia, a ci starsi zostawali tam. I wiecie w 1943 roku, to chyba było na wiosnę, tam jest tablica teraz. Miałem iść do szkoły i patrzę, cała dzielnica: budy, żandarmeria, te suki, te karabiny maszynowe, rozstawione na rogach, ten zakład księży salezjanów cały otoczony i zabrali chłopców, wychowanków, i księży na Pawiak. Taką obławę zrobili. Zrewidowali tam organy, w kościele szukali. No i smutek, że właśnie ci nasi przyjaciele, księża salezianie, są na Pawiaku. Mijał tam jakiś czas i słyszę na podwórku, że księża wracają. Wybiegliśmy... Bo to wszystko tam było tak bardzo rodzinnie, tam, w tych kilku domach. Był ogród, były kwiaty, było przyjemnie tam na tym Powiślu. I że księża wracają. I wiecie, puścili tych księży z tego Pawiaka, bez koloratek, bez sznurowadeł, zarośnięci, nic nie mówili, wrócili do tego zakonu. I tutaj nie chcę jakoś tak przeszkakiwać, ale po latach, po latach, o czym będę mógł jeszcze może opowiedzieć, dowiedziałem się od ojca Bronisława Dąbrowskiego, arcybiskupa, że to orioniści, włoski zakon, wstawił się, że tych księży do Dachau nie wywieźli albo nie zamordowali, tylko tam przykazali im tamci Niemcy i oni ocaleli, ci księża. Ale to po latach. Gdzie? 1980 rok, dowiedziałem się właśnie, że cudem ocaleli. A u Gałczyńskiego jest w poezji o Lesznie, balkon, była egzekucja i tam powieszono Polaków, i jest taka zwrotka Gałczyńskiego: „Wisiele chłopcy od Siemca”. To Siemiec to ten ksiądz, salezjanin, tam z tego Powiśla, to chłopaków powiesili na tym balkonie przy placu Bankowym, tutaj. Tam jest kawałek tego muru, ulica przesunięta z tego. To pamiętam. Matka dostała..., bo taki był jakiś układ, że ktoś tam umarł i maleńkie takie mieszkanie na trzecim piętrze, to pamiętam doskonale, że przychodził mężczyzna i tam właśnie matka wynajęła mu to mieszkanie, ja mieszkalem z babcią, matka też u swojej matki, czyli u babci, a jemu to mieszkanie. I wiecie, pamiętam doskonale, że był wyrób tam ze spirytusu, soku wiśniowego, gliceryny, olejku migdałowego, butelki były od Haberbuscha, likier, dla organizacji Armii Krajowej, oni to sprzedawali w kawiarniach, pozyskiwali jakieś pieniądze. Potem w czasie powstania on przyszedł w pierożku, z opaską i w jakimś stopniu miał chorążego, z koalicyjką, przyszedł właśnie. I on miał dużego rasowego psa myśliwskiego, Astra się wabiła. I ona była u nas, ja ją traktowałem jak swoją, opiekowałem się tym psem. Jak powstanie wybuchło, to nasi chłopcy mieli zdobyć od Browarnej, tutaj pod górę Uniwersytet, „Kubuś” [powstańczy samochód pancerny] i tam dalej od Krakowskiego, komenda policji, mieli zdobyć to. Ale ja widziałem jak „sztukas” nadlatywał nad dziedziniec, samolot, i zrzucał zasobniki załozde, tam była ogromna załoga niemiecka, broni mieli pełno, wszystkiego, posiłki, i na tym murze, który widzę teraz z Browarnej, tam jest, taka armata stoi, tam czasami wejdem, to się czuję w tej zabudowie klasycystycznej jak w Petersburgu byłbym. Podchodzę do tego muru i pamiętam, jak Niemcy dosłownie, z zawiniętymi rękawami, w hełmie, widać było ich głowy, i penetrowali ruchy na Powiślu. U nas nie było żadnego wojska, nie było placówki tutaj i to było tak względnie spokojnie. Tutaj było. Ale brak było komunikacji między domami. I z naszej piwnicy był styk naszego domu z nowoczesnym domem urszulanek, który do dzisiaj stoi, nie będę wyprzedzał, ale stamtąd wyjechał na konklawe ojciec święty, jest jego mieszkanie, jedno jedyne, które cudem nie zostało wypalone w czasie powstania, nie wiadomo jak. Ale to są inne już rzeczy, i postanowiono, że będzie przebiec z naszej piwnicy, żeby była komunikacja dalej z dzielnicami. Ale tłuc ścianę, nie wiadomo, co tam wypadnie u Urszulanek. I była na podwórku taka, mówiono, trochę niedorozwinięta kobieta, samotna, mieszkała w suterynie, i ona na sztuki sprzedawała na skwerku wiślanym tam pańską skórkę albo po cukierku. I była taka niby... I wiecie, jak był apel, żeby ktoś miał odwagę wyjść na ulicę Księdza Siemca, przebiec do furki tam urszulanek i żeby... Bo wiedzieli, że jest kuchnia, która nas żywiła. Taka RGO [Rada Główna Opiekuńcza]. Urszulanki robiły zupę, tam ludzie przychodzili z bańkami, bardzo pomagały do powstania. Wiadomo było, że tam były

kuchnie, na parę wielkie kotły, ich to pomieszczenie, żeby im nie zrobić krzywdy, żeby ktoś przeszedł i żeby one tam zapukały z tamtej strony, żeby można było tę dziurę zrobić z naszej piwnicy. I wiecie, ona się zgłosiła. Ta osoba się zgłosiła. I udało jej się przebiec, wpuścili ją urszulanki, bo tam... do tego, zaczęto tę dziurę robić i ona zamiast poczekać tam, jak już ten otwór będzie, no to jak w tę stronę, to i w tę stronę. I wtedy padł strzał z „uniwerku”, i ona jeszcze tak kilkoma krokami. Ja ją pamiętam, jak już była, kobiety ją ratowały, lament, tu jakiś okład, jakieś coś, tu mały otwór, a plecy były miała rozerwane. Z „dum-dum”, strzelił do niej wyborowy strzelec. I ona tylko: „Dajcie mi spokojnie skończyć”. Grobów przybywało na naszym podwórku, bo był, powiedziałem, ogródek, bardzo ładnie utrzymany, z kwiatami, właścicielka domu tego pilnowała, nikt tam jej zrywał, nie niszczył, nie było takiego działości jak teraz, że się maluje po ścianach, po tym, po owym. I tych grobów przybywało wciąż. No to ona była pochowana. Potem na ulicy Browarnej Niemcy strzelili do jakiegoś człowieka i ten człowiek padł, róg ulicy Browarnej i Gęstej. To było na początku sierpnia. Ja to opowiadałem, a ludzie mówią „A, tego...”. I dwie siostry, urszulanki, i młody ksiądz, że do tego rannego, on pójdzie z Panem Bogiem, a one ratować tego. I to był róg ulicy Browarnej i Gęstej. Tam zrzucono mu jakąś linkę, ale on nie miał tego i one Gęstą ulicą doszły, i wiecie znowu ten wyborowy z tamtego... miał wgląd doskonały. Siostry zostały poranione, a on przez wiatyk tutaj, przez te oleje przeszła kula i też był pochowany na naszym podwórku. Ale miały lata, potem kupiłem Ludność cywilna w powstaniu warszawskim, tom jeden, drugi. Opisany fakt. A ja to z autopsji, ja to pamiętam. I pan stolarz właśnie, dopóki były deski, to robił trumny. I wiecie, pamiętam, siedzieliśmy w tej stolarni, w tych wiórach, i jak był atak Polaków na „uniwerek” i załamało się to wszystko, z ulicy Browarnej 12, to było widać, oko w oko z tymi Niemcami, i zostałem za to skarcony, co delikatnie powiem. Dwóch żołnierzy, nie będę wymieniał, bo jednego znam z imienia i nazwiska, potem mnie los z nim połączył tak, że byłem na wysiedleniu, z Warszawy wygnany, tam pod Miechowem, razem z nim, ale to już jest inna rzecz. W każdym razie tych dwóch załamało się. Mieli po jednym takim granacie. Rzucił właśnie do ogródka ten granat, źle się wyraził o organizacji jako takiej, że to wszystko jest nic nie warte, ale on tak w ostrych słowach to powiedział: „AK to...”. I zaszył się w te wióry i tam siedział w tej piwnicy, załamany w takiej depresji. Widziałem załamanie też ludzi, którzy byli bezsilni wobec tej ogromnej siły, jaką przedstawiali właśnie Niemcy uzbrojeni absolutnie po szyję. Przecież na każdej ulicy to oni bunkry stawiali, zasieki stawiali, tu nie wolno, tam. Ja miałem tam kuzyna na ulicy Litewskiej, to on miał specjalną przepustkę, chyba tych Polaków zostawili w jednym domu, żeby w jakiś sposób chronić. Potem też wiem, jak NKWD w Rembertowie to też wszystkich nie wysiedlało, zamieszkiwali wśród Polaków, żeby być bezpiecznymi, ale to już inne sprawy, późniejsze. I wiecie, wróć do tej Astry, do tego pięknego psa. Myśmy nie mieli co jeść. Urszulanki tam tego herkula trochę dawały, jak miały, to jeszcze chleb piekły po kawałku, ale przyszli właśnie mężczyźni do matki i mówią: „Pani Mario, ta Astra to i tak zdechnie, my mamy tutaj flaszkę, to...”. Mówią, że zwierzę to nie czuje, że to, że tamto. Ona była na tym trzecim piętrze i ja o tym nie wiedziałem. I słyszę, że bardzo ten pies wyje, tak jakby płakał. Ja mówię: „Mamo, Astra tak strasznie tam wyje. Co tam się dzieje?” - „A bądź spokojny, bądź tego”. I potem widzę w misce to świeże ciało tej Astry, tak jak cielęcina. Ktoś tam się wymienił za szklankę cukru, za kawałek. Ja nie mogłem jej przełknąć. To było już tak, że było głodno bardzo, ale... I słyszę jak oni opowiadali, jak poszli ci oprawcy tam ją zabijać, to ona wlała pod otomanę, duży pies, jak wyczuła, co się święci, to z tą otomaną aż się przesuwiała ta otomana. Dzisiaj ludzie niektórzy w ogóle nie wiedzą, młodzi, co to otomana. A jak z bólem, kiedyś powiedziałem to, bo tyle razy się stykam, że: „Co ty tam wiesz? Co ty pamiętasz? Tyś się obczytał, tak gadasz i gadasz”. I opowiedziałem krótko, że właśnie własnego psa z łzami w oczach jadłem. A taki właśnie elegancki garniturek, pan młody: „Ja bym nigdy psa nie jadł”. Ale inni powiedzieli mu: „Boś ty głodny nie był”. Ja nie mogłem

przełknąć. Tak że to było takie dla mnie bardzo wstrząsające. A pani Pietrzakowa, która miała tego jedyne syna na parterze, i on taki uchodził za takiego maminsynka, ale okazało się, że właśnie z tym tłuczkiem, z granatem, z opaską przyszedł tam z Czerwonego Krzyża, mieli wiadukt kolejowy zdobywać. I przyszedł się pokazać tej matce, na przepustkę przyszedł. Potem przyszedł jeszcze raz, Heniek, to miał pistolet. Nie wiem, czy miał do niego naboje, ale miał pistolet. Znowu matka go tam ugościła czymś, pokazał się mieszkańcom, że jest żołnierzem, no i wrócił na placówkę. A potem przyszło dwóch, smutno i powiedzieli, że Heniek zginął, że Heniek nie żyje. I oni proszą o jakiś mocny koc, i ciotka Olka dała swój w kratę wełniany koc, i Henka przynieśli matce spod tego wiaduktu. Został zastrzelony tam, zginął. I został znowu w ogródku pochowany. Pan stolarz zrobił trumnę. No i tak tych grobów przybywało.